

Początkowo traktowano ją jak kurę domową, która wyszła na ulicę w podomce i coś tam krzyczy. Dziś według jej wskazówek burmistrzowie urządzają miasta na całym świecie.

Nakładem Centrum Architektury ukazała się właśnie książka Jane Jacobs „Śmierć i życie wielkich miast Ameryki”.

Rozmowa z Grzegorzem Piątkiem z Centrum Architektury

Agnieszka Kowalska: Pierwsza aktywistka miejska?

Grzegorz Piątek*: - Na pewno nie pierwsza w ogóle. Ale pierwsza, która przekuła swój aktywizm w książkę, która do dziś jest aktualna.

Dała przykład myślenia o mieście - oddolnego, zdroworozsądkowego, skoncentrowanego na realnych problemach ludzi żyjących w danej okolicy, a nie na doktrynach urbanistycznych czy kalkulacjach ekonomicznych.

Kim była? Socjolożką, dziennikarką, politykiem?

- Była omnibusem, samoukiem. Pochodziła ze Scranton w Pensylwanii, skończyła multidyscyplinarne studia na Columbia University. Pracę dyplomową napisała o odrzuconych projektach konstytucji amerykańskiej, więc od początku interesowała się prawem i sprawami obywatelskimi. Pracowała jako dziennikarka, pisała m.in. przez ponad 10 lat do „Architectural Forum” - jednego z najważniejszych amerykańskich pism architektonicznych.

Była kobietą, przyjechała z „prowincji”. Pewnie nie było jej łatwo się przebić?

- To, że w 1961 r. ukazała się książka o urządzaniu miasta, o urbanistyce, którą napisała kobieta, to był przełom. Wtedy architektura była jeszcze bardzo męską dziedziną.

Do dziś jest.

- Pamiętaj jaki to czas, to Ameryka „Mad Manów”. Przypomnij sobie ten serial i ówczesną pozycję kobiet w biurze czy w domu.

Na początku Jacobs nie była traktowana poważnie. Gdy napisała do „Fortune” artykuł, który potem stał się częścią tej książki, naczelny zadzwonił do redaktora prowadzącego i zapytał „Who is this crazy dame?” Czego ta paniulka w ogóle chce? Teoretyk miasta Louise Mumford na jej ataki odpowiedział, że to jest jakaś pani, która zdiagnozowała

raka, ale próbuje go leczyć domowymi syropkami. Czyli cały czas przypinano jej łątkę kury domowej, która wyszła w podomce na ulicę i coś tam krzyczy.

Ale ta jej kobieca, domowa perspektywa okazała się cenna. Książka „Śmierć i życie wielkich miast Ameryki” zbudowana jest z codziennej obserwacji tego, jak miasto działa, z tego co widać za oknem, w drodze do pracy, co słyhać w kolejce do kasy w supermarkecie.

Pomógł jej też dziennikarski temperament. Dobrze pisała, potrafiła porwać ludzi.

- Już jako młoda dziennikarka pokazała, jaką moc może mieć takie krytyczne pisanie. Podczas wojny w czasopiśmie „Iron Age” opublikowała serię artykułów o swoim rodzinnym Scranton, które wtedy miało bardzo duże kłopoty ekonomiczne. Jej teksty spowodowały, że państwo ulokowało tam fabrykę amunicji i stworzyło miejsca pracy. Jacobs wyspecjalizowała się w takim zaangażowanym dziennikarstwie, gdzie słowa używa się świadomie, jako amunicji.

Pisała: „Ta książka to atak na obowiązujące metody planowania i przebudowywania miast”. Wkurzyła się, gdy pewien bardzo wpływowy człowiek fizycznie wszedł na jej teren.

- Robert Moses, który od lat 30. XX w. zgromadził dużą władzę w Nowym Jorku, w urzędach zajmujących się urbanistyką, komunikacją, zielenią miejską. Odkąd przedstawił swój plan, by przeciąć Manhattan na pół trasą szybkiego ruchu, miał Jacobs przeciwko sobie. Pod kilof poszłyby całe kwartały zabudowy, w tym jej dom przy Hudson Street 555.

Moses dążył do stworzenia finansowego City ma Manhattanie, najeżonego wieżowcami i mieszkalnych przedmieść. Wszystko miało być starannie wyizolowane od siebie: miejsca pracy, miejsca zamieszkania i połączone wstęgami autostrad, dróg szybkiego ruchu, estakad.

Ogólnoamerykańskie wówczas myślenie.

- Ogólnoświatowe w zasadzie. To była szkoła Le Corbusiera. Wtedy jeszcze nie dostrzegano możliwych skutków ubocznych masowej motoryzacji. To, że możesz dojechać gdzie chcesz, odbierano jako cudowny przejaw wolności. Pociągało to za sobą poważne ograniczenie transportu publicznego.

Moses nie widział, że likwidując całe połączenie funkcjonującego miasta, likwiduje samo

miasto - dzielnice, które mają swój charakter, kulturę, ekonomię.

Jak Jacobs z tym walczyła?

- To była bardzo długa batalia, trwała 9 lat. Ona była jedną z liderek. Skupiła się na wykorzystywaniu do maksimum możliwości, jakie daje prawo. Wytykała momenty, kiedy urzędnicy popełniali błędy: nie poinformowali na czas, nie wpuścili na spotkanie, nie skonsultowali. A kiedy trafiła na trzy dni do aresztu za podżeganie mieszkańców do agresji, stała się już prawdziwą ikoną tego ruchu. Plan budowy estakady nie wypalił, a Robert Moses m.in. z tego powodu ustąpił ze stanowiska.

Udało jej się z lokalnej społeczności, której nikt wcześniej nie pytał o zdanie, uczynić stronę w tym sporze.

Biedniejsi mieszkańcy wyburzanych dzielnic, uznawanych za slumsy, nie mieli takiej siły.

- To była kolejna z porażek Mosesa. Wówczas panowało takie myślenie, że te XIX-wieczne części miasta trzeba zrównać z ziemią - jak nauczał Le Corbusier - i najlepiej zastąpić blokami. W Europie częściowo wojna „rozwiązała” ten problem. A w Stanach zaczęły się wyburzenia.

Jacobs zwracała uwagę, że wiele z tych dzielnic, które urbaniści uważali za siedliska nędzy, przestępczości i chorób, działa. Ludzie chcą tam mieszkać, są do nich przywiązani. I gdyby dano im szansę, podnosiliby ich standard.

Blokowe getta poniosły spektakularną klęskę, np. osiedle Pruitt Idoe, które w latach 70. wysadzono w powietrze.

To były lata 60., a my wciąż popełniamy podobne błędy.

- Rzeczywiście, pod wieloma względami jesteśmy w podobnym momencie: zaskoczeni masową motoryzacją, wyludnianiem się śródmieścia. Wynika to z bezkrytycznego zapatrzenia w Amerykę.

Winię Telewizję Polską, że od razu w 1989 r. kupiła serial „Cudowne lata”, bo Polacy uwierzyli, że tak powinno wyglądać dobre życie - w białym domku na białych przedmieściach, gdzieś między kręgielnią a centrum handlowym (śmiech).

Jacobs pisała, że to, co zwykle uważamy za nieuchronne, nie stało się przypadkiem, ale ktoś to wymyślił.

Kto, poza telewizją? Ten zły Le Corbusier?

- Nie do końca. Chociaż jest go w tym sporo. Niewątpliwie proponował blokowiska, miasto zbudowane pod kątem samochodów.

Ale to Rockefeller wymyślił, żeby śródmieście Nowego Jorku - Dolny Manhattan, który był mieszaną dzielnicą mieszkalno-przemysłowo-handlową - zamienić w biurowe City.

Rodzi to problemy, o których pisze Jacobs - że cała dzielnica pracuje w jednym rytmie, w określonych godzinach, nie powstają sklepy ani dobre knajpki, że po godzinach pracy jest tu niebezpiecznie. W naszych gettach biurowych też to widać, np. na Domaniewskiej w Warszawie. W wielu miastach na świecie próbuje się teraz naprawić ten błąd i przywrócić życie do centrów.

W starych dzielnicach jest bezpieczniej?

- Jak jest dobrze działająca ulica, po której chodzą ludzie, pełna sklepików, mieszkań, to uruchamia się obywatelska kontrola. Właściciel kiosku na rogu zadba o porządek, zwróci uwagę, żeby nie kopać kosza na śmieci. A kiedy wszystkich przesiedlisz do nowego bloku to potrwa pokolenia, zanim ludzie się poznają, wytworzą jakąś społeczność.

Lubimy myśleć o modernizacji w takich kategoriach, że trzeba wszystko wyremontować i wyrzucić „element”. Przesunięcie ludzi, którzy rzekomo sprawiają kłopoty gdzie indziej, nie rozwiąże żadnego problemu - ani tych ludzi, ani tej dzielnicy.

Jacobs postulowała różnorodność - kulturową, rasową (co nie było wtedy takie oczywiste) i ekonomiczną. Żeby biedni i bogaci mieszkali obok siebie, mijali się na ulicach. Bo jak jest różnorodnie, to społeczeństwo lepiej działa - ludzie uczą się ze sobą być, ze sobą rozmawiać, nie patrzą na siebie nieufnie.

Czy to oznacza, że w PRL-u dobrze wymyślono, żeby mieszać na jednym osiedlu ludzi o różnym wykształceniu, stopniu zamożności?

- Przypadkiem PRL lepiej zinterpretował postulaty modernistyczne niż Moses, tworząc zróżnicowane blokowiska. W Stanach była taka polityka, że nowe osiedla dzielono według dochodów: dla bogatych, średnio zamożnych, biednych, dla poszczególnych mniejszości narodowych. I dlatego mamy tam getta. Jacobs nazywała to metkowaniem, że oznacza się naklejką z ceną i odkłada na odpowiednią półkę.

Na promocję książki do Polski przyjedzie Roberta Graz z think tanku Centre For Human Thinking, który Jane Jacobs pomagała zakładać przed śmiercią w 2000 r. Graz w latach

90. podróżowała po Europie Wschodniej i stworzyła raport o tym, jak nasze miasta zmieniają się po 1989 r. Pisała z pozycji Amerykanki zachwyconej tym, że jeszcze się wiele dobrych rzeczy tu uchowało: ludzie nie są przyspawani do samochodów, jest różnorodność społeczna, klasowa i widać to na ulicach. Że są żywe śródmieścia, ulice handlowe, a nie centra handlowe. I proszę, w zasadzie wszystkie jej przestrogi się spełniły.

Dlatego zaczynamy przemeblowywać miasta. Są na to ogromne unijne środki. Niestety wielu samorządowców wciąż uważa, że rewitalizacja to tylko równy chodnik, ścieżka rowerowa i fontanna. Polecilibyś Hannie Gronkiewicz-Waltz tę lekturę?

- Na pewno każdemu burmistrzowi bym zalecił, żeby przeczytał tę książkę do końca. Oczywiście najlepiej by było, gdyby przeczytali ją 5 albo 10 lat temu.

Spójrzmy chociażby na Katowice i na Strefę Kultury, która powstaje w centrum, obok Spodka. Za gigantyczne pieniądze wybudowano obok siebie Muzeum Śląskie, NOSPR, Centrum Kongresowe. I to jest właśnie koszmarne sen Jane Jacobs. Powstała dzielnica z samymi gmachami kulturalnymi, takie getto, wycięte z centrum miasta, obok trasy szybkiego ruchu.

Każdy z tych budynków z osobna jest piękny, ale w całości przypomina to wielkie centrum handlowe na przedmieściach. Zdrowsze byłoby rozsianie tych instytucji po mieście, tak, żeby każda mogła promieniować na swoją okolicę, ożywiać ją.

Może prezydent Uszok ma coś Moseśa?

- Na pewno. Podobnie się dzieje w Poznaniu z wyprowadzką kampusu Uniwersytetu za miasto. Jest taki piękny przykład stołówki na uniwersytecie w Poznaniu, na której pracuje legendarna pani Maria, o której pisały „Wysokie Obcasy”. Pani Maria to jest instytucja, ludzie specjalnie do niej przychodzą, organizują u niej przyjęcia, konferencje. Wszyscy uwielbiają panią Marię, a ona wszystkich zna. I co teraz? Pani Maria ma stawać do przetargu na nowym kampusie przeciwko Sodexo i Eurestowi? Sodexo i Eurest zapełnią pustkę po pani Marii?

Jane Jacobs zarzuca się, że jest matką chrzestną gentryfikacji. Poważny zarzut, bo problem jest poważny – kogo nie stać na mieszkanie w dobrej dzielnicy, musi się z niej wynieść.

- Jeśli się zatrzymać tylko na fragmentach książki, w których trzęsie się nad tym, żeby chronić stare budynki albo roztkliwia nad restauracjami z egzotycznym jedzeniem i galeriami, to faktycznie wygląda to źle. Jak wizja śródmieścia, do którego rozleniwiona biała klasa średnia wraca z przedmieść, żeby przeżyć prawdziwe miasto w dawnym stylu.

Ale jeśli doczytać książkę do końca, to Jacobs daje kilka recept, jak tego uniknąć.

Na przykład?

- Proponowała powołanie państwowego funduszu, który dopłacałby inwestorom do budowy mieszkań na wynajem. Byliby zobowiązani rezerwować pule lokali dla uboższych.

Ale oczywiście wpływ książek Jane Jacobs na amerykańskie miasta był dość dwuznaczny, również przez złe interpretacje, niezrozumienie. Nawet jej ukochane Greenwich Village i Soho zamieniły się w coś, co pewnie by jej nie cieszyło, czyli luksusowe enklawy, które zachowują jedynie pozory różnorodności.

U nas wciąż pokutuje to rockefellerowe myślenie, że wszystko urządzi wolny rynek, a miasto może umyć ręce.

- Miasta w Polsce mają spore zasoby lokalowe, a podwyższają czynsze najemcom, czekając na tego księcia z bajki, przysłowiową kawiarnię Starbucksa czy butik Chanel. Lokale stoją puste, ulica wymiera, staje się mniej atrakcyjna do mieszkania.

Jacobs pisała o "promenadach, po których nikt nie promenuje". Zamiast wspomagać ulice, które działają, robi się pokazowe inwestycje. A to nie jest tak, że tam gdzie się postawi ławkę, tam ludzie usiądą.

A jak Jacobs rozwiązałyby problem zakorkowanego miasta?

- Uważała, że ani oddanie centrum miasta samochodom nie jest dobrym pomysłem, ani ich całkowite wykluczenie. Że jak się wyłączy z ruchu pewne połączenie miasta, to na ich obrzeżach trzeba zbudować wielkie parkingi, które z kolei będą wysysać życie z tamtych rejonów. Uważała, że trzeba dać priorytet komunikacji publicznej, i co ciekawe - samochodom ciężarowym, ponieważ najwydajniej przewożą to, co ludzie wozili prywatnymi samochodami.

Sama jeździła na rowerze.

- Co nie było wówczas tak popularne. Samochodem oczywiście też. Podobały jej się gęste

i wielofunkcyjne dzielnice, gdzie jak najwięcej spraw można załatwić za rogiem, na nogach, bez konieczności jazdy samochodem.

Jej postulat to również wzmocnienie samorządności. Nawoływała, żeby tworzyć samorządy na poziomie osiedli, gdzie ludzie się dobrze znają i potrafią trafnie zdiagnozować problemy. W Warszawie dzielnice mają po 200, 300 tys. mieszkańców, to już jest rozmiar Radomia. W półmilionowym Gdańsku w ogóle nie ma rad dzielnic.

Jednak miała w sobie coś z polityka.

- Ale wymykała się wszelkim politycznym szufladkom. Gdy myślisz o niej, jako o silnej kobiecie, która postawiła na swoim, możesz jej przypiąć łatkę feministki. A ona by o sobie tak nie powiedziała.

Dla lewicy może się wydawać zatwardziałą konserwatystką, bo mówiła w dużej mierze o ekonomii, że pieniądze napędzają miasto, a myślenie o własnym interesie przekłada się na wspólny interes. Ale dla amerykańskiej prawicy była lewaczką, bo upominała się o mniejszości etniczne, o biednych. Dla niej różnorodność oznaczała również równouprawnienie.

Czy Ameryka jakoś się pod wpływem tych idei zmieniła? Czy raczej była to lokalna dyskusja na poziomie Greenwich Village?

- To były sukcesy lokalne. Ale Jacobs miała dobrą intuicję, bo za chwilę o podobnych problemach zaczęli mówić inni, narodził się cały ruch na rzecz zmiany amerykańskich miast. Do rozmontowywania modernizmu przyczyniły się też późniejsze publikacje Roberta Venturiego „Ucząc się od Las Vegas” czy „Contradiction and Complexity in Architecture”. On również wskazywał, jak ważna jest ludzka skala i myślenie w kategorii ulicy, sąsiedztwa.

To jest ciekawe, że mówi się o niej jako o babci hipsterów - zadowolonych mieszczan, popijających latte w klubokawiarniach.

- No tak, szalona damulka na rowerze, w za dużych okularach. Ale okazuje się, że takie szalone damulki mogą wiele dokonać.

* GRZEGORZ PIĄTEK - krytyk architektury, współzałożyciel Centrum Architektury, współautor książki "Lukier i mięso. Wokół architektury w Polsce po 1989 roku"

Książka Jane Jacobs „Śmierć i życie wielkich miast Ameryki” ukazała się nakładem Centrum Architektury. Spotkania promocyjne odbędą się 19 listopada w Warszawie (Dom Towarowy Braci Jabłkowskich, ul. Bracka 25, godz. 18.30) i 22 listopada w Krakowie (Forum Przestrzenie, ul. Konopnickiej 28, godz. 18.).